

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GALIC. TOWARZ. ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Po złomek jedliny!

Jesień w tym roku wcześniej niż zwykle do nas zawitała. W polach już pusto, lasy tracą zieloność, chłód wieje z północy.

Z pierwszem tchnieniem jesieni w sercu myśliwego rodzi się tęsknota! Spogląda ku południowi, gdzie na lazurowej toni niebios sine kontury Karpat się rysują. Myśl jego ku nim leci.

Tam król gór już miłosną pieśń rozpoczyna. Jej potężne akordy budzą jary i zręby z martwoty, płyną ich echa nurtem górskich strumieni. To pomruk dopiero, to prolog dramatu, akt sam rozpocznie się niebawem, a w epilogu odegra główną rolę myśliwy!

Do gór, do gór, po złomek jedliny!

Do gór, by nasze wrażenia wpleść w starych wspomnień wiązankę, by zażyć nowej rozkoszy, by pić przez kilka dni pełnym haustem z czary myśliwskich rozkoszy!

Rykowisko to dla myśliwego epoka, to kilka dni szczęśliwych i beztroskich spędzonych na łonie pierwotnej przyrody, to obcowanie z nią sam na sam, kochanka z kochanką!

Idzie jesień, kładzie na Karpaty swój płaszcz purpurowy, śnieżnymi djademy wieńcząc najwyższy ich szczyty!

Pierś jelenia potężną grzmi pieśnią.

Szczęśliwi, co zwabieni tym śpiewem rycerskich trubadurów, będą mogli wsłuchiwać się w jego brzmienie, którzy zgłuszą jej akordy echem wystrzału! Szczęśliwi, co zatkną za kapelusz gałązkę farbą króla Karpat zbroczonej jedliny!

Niech pamiętają ci szczęśliwi wybrańcy, że gdy wrócą z krainy czarów i jesiennych baśni, winni się podzielić swemi wrażeniami z ogółem.

„Łowiec“ oczekuje od nich niecierpliwie sprawozdań z polowań w górach, a teraz łasce św. Huberta ich poleca.

KAZIMIERZ TABACZKOWSKI.

Broń trzylufowa.

Trzylufek, jako broń myśliwska jest znany dość dawno, bo jeszcze z czasów, kiedy znano wyłącznie kapiszonówki; jako broń odtylcowa, posiada za sobą przeszłość mniej więcej trzydziestoletnią, i u nas, dla naszych celów myśliwskich, stał się wprost niezbędnym.

Podobnie jak każda nowość, spotkał się początkowo z niedowierzaniem, a później z nieufnością, przekonano się bowiem, że lufy śrutowe biły najczęściej bardzo niedokładnie, kulowa zaś tylko wtedy dobrze, gdy używano dość wysokiego celownika. Wady te usuwano z postępem techniki rusznikarskiej i doprowadzono ulepszenie tej broni tak daleko, że dziś strzela równie dobrze śrutem jak i kulą, a nawet kulami, odpowiednio przystosowanemi z luf śrutowych. Obecnie też uważać można trzylufek za broń uniwersalną, tj. za broń równie dobrze śrutową co i kulową.

Główną przyczyną pierwotnego niedomagania trzylufka, było niedokładne i złe spajanie luf. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że lufy pojedyncze mogą być spajane w dwojaki sposób: albo zapomocą mosiądzu, albo zapomocą cyny, a właściwie, dokładniej rzecz określając, nie cyny, lecz stopu 5-ciu jej części z trzema częściami ołowiu.

Pierwszy sposób spajania, na mosiądz — nazywa się w języku technicznym *spajanie na twardo* (hartlöten), drugi zaś, *spajanie na miękko* (weichlöten).

Użycie mosiądzu do spojenia luf jest znacznie łatwiejsze od użycia cyny, jakkolwiek może się wydawać, że powinno być przeciwnie, choćby dlatego, że do spajania mosiądzem musi się rozgrzać lufy do czerwoności, tj. do 700° C, podczas gdy przeciwnie do spajania cyną, wystarcza ogrzanie luf do 260° C. Dalej — pierwszy proceder wymaga specjalnie budowanych pieców, w których ciąg powietrza może być dowolnie regulowany, a to w celu równomiernego rozprowadzenia ciepła, do drugiego zaś wystarcza zwyczajna lampka spirytusowa, którą ogrzewa się lufy w miejscu, gdzie jest to potrzebne, zaś parę centymetrów poniżej, można lufy trzymać w ręku, bez najmniejszej obawy poparzenia.

Mimo to wszystko, mimo tę łatwą topliwość cyny, łatwiejszy sposób manipulowania z nią, mimo to, iż nie potrzeba żadnych szczególniejszych urządzeń, lufy spojone cyną są kilkakroć droższe od spojonych mosiądzem. Stąd też do broni droższej i lepszej, która wytrzymuje najsilniejsze naboje, używa się wyłącznie luf spajanych cyną, a lufy spajane mosiądzem znaleźć można jedynie w pośledniejszych i mniej starannie wykończonych gatunkach broni.

Różnicę ceny, — pozornie nieusprawiedliwioną kosztem i trudnościami wyrobu, powoduje to, że do stosowania cyny, lufy muszą być daleko lepiej *obrobione*, t. zn. o wiele staranniej wykończone; przeciwnie zaś, jeśli mają być łączone mosiądzem, wystarcza wykończenie o tyle tylko dokładne, o ile jest konieczne do ułożenia luf w sposób umożliwiający centrowny strzał, mosiądz zaś, jako metal bardzo wytrzymały, spaja je w jedną całość.

Do tematu tutaj poruszonego powrócę jeszcze w dalszym ciągu, teraz zaś podam prawidła, w jaki sposób lufy mają być ułożone obok siebie, jeśli zaś mowa o trzylufku, to także i prawidło, jak je złożyć, aby po spojeniu dawały strzały centrowne.

Z miejsca zastrzedz muszę, że samo spajanie jest pracą bardzo trudną, wykonywaną przez specjalistów, którzy poza nią nie mają z rusznikarstwem nic wspólnego, tak dalece, że całej, złożonej strzelby mogą nawet przez cały ciąg swej praktyki nie widzieć. Specjaliści ci, spajacze czyli *garniserzy*, dostają lufy wywiercone cylindrycznie, skontrolowane czy grubość ich ścian jest we wszystkich miejscach jednakowa i z wierzchu odpowiednio obtoczone. W ułożeniu ich rozpoczyna się właściwa praca garnisera. Musi on mianowicie lufy śrutowe tak ułożyć, aby ich osie nie biegły do siebie równolegle, lecz pod bardzo ostrym kątem, tak, aby osie przedłużone na odległość 30 m. przecinały się ze sobą; spodnia zaś lufka ma być tak ułożona, ażeby jej oś padała 8 do 10 cm. poniżej punktu przecięcia się osi luf górnych. Szyna na lufach, po obszlifowaniu, ma wpadać w oś krzyżujących się linji luf wierzchnich.

Ten sposób ułożenia jest konieczny ze względu na odbijanie broni (*Rückstoss*). Strzał z prawej lufy wskutek odbijania, zbacza na prawo, z lewej na lewo, z dolnej zaś lufki, ułożonej niżej osi luf górnych, góruje (zależnie od krzywizny łoża mniej albo więcej). Ten ostatni objaw nazywa się w balistyce *podwyższeniem osi lufy* (Erhebung der Rohrmündung). Górowanie może występować także u luf śrutowych; ponieważ jednakże opad śrutu jest bardzo szybki, uregulowuje się je wyłącznie przez odpowiednie osadzenie szyny.

O prawdziwości tego twierdzenia można się bardzo łatwo przekonać, jeśli broń, ostrzelaną bardzo dobrze „z ramienia" umocujemy za same tylko lufy w maszynce do strzelania i damy serję strzałów na odległość większą, np. 40 m. Sposób ułożenia luf uwidoczni się wówczas bardzo dokładnie.

Nawiązując do spajania luf zapomocą cyny i mosiądzu, przyjmijmy, że lufy, które miały być spajane mosiądzem ułożył garniser bardzo dokładnie. Choćby cała robota była idealną, to jednak ogrzanie przedmiotu tak długiego, jak lufy — mające np. 70 cm. długości, — do 700° C, nawet wtedy gdy rozgrzanie nastąpiło bardzo równomiernie, musi wywołać skutek ujemny. Lufy skrzywiają się i precyzja pracy garnisera idzie na marne. Poza tem wysoka temperatura luf w piecu, nie może wpływać dodatnio na samą stal, która, o ile jest użyta do wyrobu luf, nie znosi temperatury wyższej ponad 600° C. Jeśli więc to maximum przekroczono, trzeba lufy, po oziębieniu rozegrzać ponownie, lecz nie wyżej niż 500° C, a następnie chłodzić je bardzo powoli w ciepłym powietrzu lub popiele, stopniowo wystygającym. Zabieg ten usuwa nadmierną twardość stali, czy jednak nadaje jej powtórnie tych wszystkich właściwości, jakie miała przed rozgrzaniem do temperatury 700° C — to wielkie pytanie...

Idąc jeszcze dalej, abstrahujmy od tych wątpliwości i przyjmijmy, że lufy podczas spajania nic nie ucierpiały. Mimo to niepodobna przypuścić, że podczas spajania i zalewania roztopionym mosiądzem nie zaszły absolutnie żadne usterki, bo przypuszczenie to byłoby zanadto naiwne. Usterki te w praktycznem wypróbowywaniu broni muszą wyjść na jaw, a o ile dadzą się usunąć przy lufce kulowej, przez odpowiednie ustawienie celownika i muszki, o tyle dla luf śrutowych muszą pozostać.

Od czasu, kiedy zaczęto spajać lufy na cynie, trzylufki weszły w nową fazę rozwoju. Spowodowało to znaczne podwyższenie ceny broni, ale jest całkiem usprawiedliwione

wobec tego, że opracowanie i obróbka luf przystosowanych do spajania cyną, jest dziełem mrówczej pracy. Lufy muszą być tak idealnie wygładzone, żeby trzymały się na podstawie fizycznego prawa *przyczepności*. Prawo to polega na tem, że dwie płytki szklane np., oszlifowane bardzo dokładnie na swej powierzchni, położone na sobie, — nie dadzą się rozerwać, a przynajmniej bardzo trudno. Jeśli zaś je natłuścimy, wówczas raczej je można zbić niż rozłączyć. Otóż taksamo jak te płytki, muszą być wygładzone lufki, a cyna odgrywa jedynie rolę uszczelnienia a nie spoidła, jak mosiądz.

Ile taka obróbka wymaga pracy i kunsztu, — świadczy najlepiej fakt, że sławny londyński garniser luf Colby, bierze za samo tylko spojenie dwu luf około 200 K, a pomimo tej wysokiej zapłaty, całemi miesiącami trzeba czekać.

Garniser, spajający lufy cyną, pozostawia u wylotu klinki, którymi zbieżność lub rozbieżność luf można dowolnie regulować. Takie też tylko lufy może rusznikarz dobrze ostrzelać, lecz musi zawsze rozpocząć od śrutowych, gdyż z kulową prędzej sobie poradzi; świadczy o tem samo już przysłowie: „śrut trzeba prosić, a kuli rozkazywać“.

Trudniejszym do ostrzelania jest trzylufek, złożony z 2 luf kulowych, a jednej śrutowej, zwłaszcza, jeśli się wymaga, aby i ta odpowiednią kulą dobrze biła, ale przy pracy i dobrych chęciach i to można zrobić.

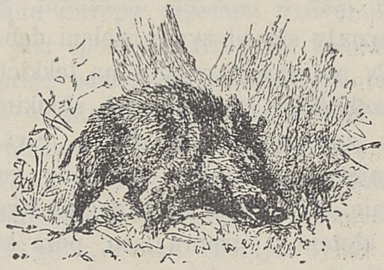
Długość luf trzylufka waha między 68 a 70 cm., taka bowiem długość jest niezbędna do spalenia się prochu dymnego. Jako materjału używa się wyłącznie stali, przyczem do śrutowych może być użyty dowolny jej gatunek, zaś do lufy kulowej jedynie t. zw. *zgęszczona stal* Krupp'a lub stal Böhlera z fabryk styryjskich. Jako naboju używa się do lufy kulowej pocisku ekspress kal. 450, 670 mm. długości łuski, naboju Mausera 8 mm albo, lub Kropatschka Heisig'a kal. 11·2 milimetra.

Wspomnieć jescze chciałbym o kwestji lekkości broni. Jest to rzecz, z którą ogromnie należy być ostrożnym. Gdybyśmy bowiem znali te wszystkie wypadki, które starannie tuszują, a publikują tylko w pismach rusznikarskich dla przestrogi, wypadki, spowodowane jedynie „lekkością“ broni, wówczas nie jednemu myśliwemu opadłaby chęć nabywania tego rodzaju broni. Największą statystykę nieszczęśliwych okaleczeń, z tej zalekkiej broni, wyrabianej głównie w Niemczech, wykazują właśnie w Niemczech, nawołują też nieustannie do zerwania z tą niebezpieczną grą.

Jeżeli weźmiemy do ręki np. trzylufek, z lufami śrutowemi kal. 12, a z dolną do nabojów Mausera 8 mm, to przedewszystkiem, musimy sobie uświadomić, jakie ogromne ciśnienie gazów wytrzymać muszą ściany luf! Drzewny proch „Schultze“, powszechnie używany, w ilości 2·5 gr. dla naboju kal. 12, przy 32·5 gr. śrutu wytwarza 749 atmosfer, zaś nabój Mausera, napełniony 2·5 gr. prochu M 92 i pociskiem opancerzonym o wadze 15·5 gr. 3200 atmosfer! Wobec takich cyfr, nie należy widzieć w broni zabawki, lecz bardzo poważny i groźny instrument, z którego ciężarem również poważnie trzeba się liczyć, choćby nawet był opatrzony stemplem probierczym. Jako najmniejszy ciężar trzylufka bezkurkowego kal. 16 i 450, dopuszczalny jest ciężar 3·5 kg.; w kal. 12 i 450 4 kg. Poniżej tego minimum, wypadek rozerwania luf jest bardzo łatwy.

Dodać muszę, że broń sporządzona do prochu bezdymnego i używana z tym prochem, powinna przynajmniej co 4 lata być poddana ponownej próbie rządowej, ponieważ przez strzał lufa się rozciąga i napowrót ściąga, przez co z czasem atomy stali układają się w grubsze kryształy, a stal staje się mniej elastyczna i więcej krucha, jej wytrzymałość zaś wątpliwą. Przy ponownych próbach bardzo często broń nie wytrzymuje. Przy tej sposobności podam jaką wagą prochu bezdymnego i śrutu jest broń w urzędzie probierczym próbowaną i tak: kalb. 12-ty, prochu bezdymn. Nr. I. — 3·7 gr., śrutu 47·4 gr. Nr. 12 (śrut miękki, gdyż przy tak wielkim naboju, lufa nie wytrzymałaby spięcia twardego śrutu); używać wolno tegoż prochu najwyżej 2·8 gr. a twardego śrutu 35·4. Broń o kal. 16-tym prochu 3·2 gr. śrutu 30·0; używać wolno 2·4 — śrutu zaś 29·4 gr.

Lepiej więc i tutaj, — jak zresztą w każdym niemal wypadku, — więcej nieufności, niż pewności i zaufania.



J. C. W. ARCYKSIĄŻĘ JÓZEF.

DAREMNY TRUD.

Przybywszy 12. września w dolinę Farkas otrzymałem, od leśniczego Tresztera takie oto zawiadomienie:

„Poprzedniego roku ryczał dobrze w *Blaskovrostyek* i okolicy; co do jego głosu nie mogłem się mylić, bo łatwo go rozpoznać od innych byków i przyciołków. Wasza Ces. Wysokość raczy podchodzić przez *Papai Vrch*, bo przypuszczam, że będzie tam jeszcze i tego roku, jakkolwiek do dziś ani go nikt nie słyszał, ani jego tropów nie widział“.

Raport ten nie grzeszył zbytnią dokładnością, nie dawał też dużo nadziei, ale jeśli „on“ osadził takie same wieńce jak zeszłego roku, było się o co pokusić. Wprawdzie widziałem go bardzo niedokładnie zaledwie dwa razy, poczem znikł, jakby go uniósł aeroplan braci Wright'ów, — już jednak z tego niedokładnego obejrzenia, wiedziałem, że wieniec ma niezwykle potężny. Ile końców? — nie wiem, bo widziałem go w zmroku, ale że wieniec musiał mieć ogromny, świadczyłoby choćby to, że tylko z największym trudem przeciskał się pomiędzy młode dębiną.

Pytanie czy go spotkam teraz dręczyło mnie tak, jak dręczyć musi każdego myśliwego, gotowego do poniesienia wszelkich trudów i znojów „podchodnego“ byle tylko dojść do wymarzonego strzału. Odpowiedziałem więc leśniczemu, że od dziś będę tu co dnia każdego ranka i wieczora, poleciwszy, aby nikt nie chodził w okolicę *Farkasvölgy*, *Szállásret*, *Sziklakapu*, *Nèsztasowa* i *Razgyel*, obowiałem się bowiem, że zbytnia gorliwość służby może jelenia spłoszyć.

Później spotkałem się z nadleśniczym Rettingerem, od którego dowiedziałem się już coś pewniejszego. Widział on mianowicie na t. zw. łące *Szállás* pasącego się, bardzo dużego byka, który wprawdzie zaraz uciekł, mimo to jednak Rettinger zdołał się upewnić, że był to ogromny osiemnastak. Od

tego czasu podchodził go i szukał nieustannie, ale ani go więcej nie widział, ani jego ryku nie słyszał.

Wysłuchawszy tych skąpych wiadomości ruszyłem piękną doliną w pochód. Niebawem doszły moich uszu jakieś dalekie głosy, nie mogę jednakże twierdzić, że był to ryk jeleni; nie jest bowiem wykluczone, że mogło to być brzęczenie bąków. W takiem nasłuchiwaniu i badaniu głosów, dotarłem na grzbiet *Blaskovrostyek.* Roztaczał się przedemną cały przepych wczesno-jesiennego krajobrazu, koiło i czarowało zmysły wonne powietrze lasu. Zaniechałem dalszego pochodu i rzuciłem się z rozkoszą w aksamitną zieleń trawy, rozłożoną jak wspaniały dywan pomiędzy prastarymi bukami. W tem miejscu widziałem go zeszłego roku, w tem miejscu zawsze ryczał.

Wokół mnie była doskonała cichość. Zamierający zwolna dźwięk dzwonów wieczornych dobiegał z oddali, potęgując tylko wrażenie ciszy w bliższem otoczeniu. Smętne sylwety świerków odrzynały się od żywej zieleni dębów i jaworów, co się rozsiadły potężnymi pniami na lekkich zboczach pagórków i wierzchołków, oświetlonych słodkim, melancholijnym światłem zniżającego się słońca. Swarliwy i zwykle bardzo sobą zajęty potok leśny, wyssany gorącem słońca, sączył się sennie. Mój wzrok biegł w głąb stygnącego zwolna z rozpalonego złotem i purpurą lasu, poza którym dopatrywałem w myśli równiny, gdzie wsparty o pień buka, czekałem na „niego“. Nastrój jest jednak tak cudowny, wszystko takie zmęczone, ciche. Nawet ptaki pomilkły... Nieznacznie spływał zmrok, coraz gęściejszy i grubszy, aż wreszcie, gdy się podniosłem i ruszyłem z powrotem do oczekującego mnie wózka, było ciemno zupełnie...

Wypocznę — lecz jutro o świcie będę tu znowu!

Do 15. września łaziłem po całej okolicy, każdego ranka i wieczora, spotykałem tęgie i ładne jelenie dobrze ryczące, lecz „jego“ głosu nie słyszałem. A jednak muszę jeszcze raz spróbować!

Następnego dnia, o 4 w nocy, ciemnej i parnej siedziałem znowu na temsamem miejscu. Niedaleko odemnie oznajmiało się osiem do dziesięć byków. Ryczą doskonale, a z największą radością odróżniam pomiędzy ich głosami „jego“ ryk. Porykują gniewnie, — targa nimi zazdrość ku staremu paszy...

Przed piątą nie można strzelać, a teraz jest zaledwie po czwartej, jeszcze nawet nie świta. Chmury ciągnące od południa pokrywają szybko niebo i zamiast jaśniej, robi się coraz ciemniej. Czyż nadchodząca burza ma mi wszystko popsuć? Tylko cierpliwie! Może się jeszcze uda.

Cisza. W ciężkim, parnym powietrzu, znieruchomionym od grozy grzmotów raz wraz się rozlegających, umilkło wszystko. Nawet liści osiki przestały drżeć. Dwa pożółkłe liście spadły z drzewa, — jeden na ziemię, drugi na mój kapelusz. Nagle słyszę ryk „E... e... e..“ To on, gdzieś bardzo blizko koło mnie, pewnie na łące. Patrzę przez szkła aż oczy skaczą w orbitach, — ale nadarmo, nie widzę nic! Szukam gorączkowo świecącej muszki, aby ją założyć, ale oczywiście, — właśnie dziś — zapomniałem jej w domu! Raz jeszcze rozlega się potężny bas. Zdaje mi się, że widzę jakiś cień na łące. Daleka błyskawica oświetla na chwilę okolicę i rzeczywiście upewniam się, że go widzę, — może na 30 kroków przed sobą! Wieniec ma dłuższy niż ciało dwu łań, które go otaczają! Przy następnej błyskawicy zamigotały w oczach liczne i długie końce. Może uda mi się strzelić gdy znowu błyśnie! Świta już i widzę koniec lufy, lecz o celowniku i muszce niema jeszcze mowy. Trzymam sztuciec przy twarzy i dwa razy oparłem już palec o cyngiel, może go trafię... A gdy nie? Za 10 minut będzie już dość widno na strzał, dojdę go w bukach!

Sina pręga błyskawicy rozorała znowu zwały chmur, ale oślepiła mnie tak, że nie widziałem nic. Byk oznajmił się jeszcze raz i znikł w gęstwinie. Pioruny biją nieustannie, burza rozpętała się na dobre, las cały szumi i jęczy, cóż zrobię w taki czas? Płaszcza ze sobą nie wziąłem, wózek odesłałem do *Nyistrolin*, oddalonego co najmniej 15 km. Nic to! Może go strzelę mimo to, znam doskonale każdy jego przesmyk...

Niebo i ziemia zdawały się płonąć złym, zielono-sinym ogniem. Bez przerwy migały wązkie pasma błyskawic, ciężar powietrza przygniatał mnie zupełnie, a huk piorunów wstrząsał nerwami i ciałem do szpiku. Nie było żartów: piorun uderzył w pobliżu miejsca, gdziem się znajdował. Ruszyłem, aby odejść z pobliża wysokich drzew na łąkę. Nie było jednak na to czasu, bo w tej samej chwili uderzył wściekły orkan, uniemożliwiający posuwanie się naprzód. Nowy zygzak błyskawicy, nowy huk rozsadzający uszy i mózg... To było j e s z c z e bliżej! Musiałem wydostać się na łąkę, lecz żywioł niebieski zawziął się na mnie. Bił bowiem grad wielkości laskowych orzechów i smagał swemi uderzeniami po całem ciele. Ażeby się przed nim bodaj w części uchronić, zdjąłem z siebie skórzaną kurtkę i trzymając ją w obu rękach nad głową, stworzyłem rodzaj daszka. Za to przejęło mnie dojmujące zimno, wokół bowiem padały grudki lodu. Miałem wrócić do lasu, czy marznąć dalej? Potworny ryk piorunu i oślepiający policzek błyskawicy odpowiedział wymownie... W tej samej chwili pomknął obok mnie wspaniały odyniec, ale kto w podobnych warunkach myślałby o strzale?

A srogość burzy sięgała szczytu. Grad tłukł z taką gwałtownością, że mimo mojego zaimprowizowanego daszka, ledwie mogłem mu się oprzeć. Ziemia pokryła się lodem. Burza targała mną okropnie i musiałem wytężyć wszystkie siły, aby nie runąć. Grzmot po grzmocie ciskał się o ściany gór, odpowiadające stokrotnem echem, jakby natura urągała i oburzała się na rozwścieczony żywioł. Wtem przestał padać grad, a lunęły strugi dżdżu, wiążące strumieniami wody cielska chmur z ziemią. Co prędzej ubrałem moją kurtkę kąpiąc w deszczu ciało obolałe od uderzeń gradu. Ruszyłem w drogę — ale dokąd? Czy miałem iść za nim? Ostatnia błyskawica rozświeciła na mgnienie niebo i cisnąwszy piorunem w *Papai Vrch* zatrzęsła posadami ziemi.

Wreszcie nacichł deszcz i burza, a pomiędzy ciemnymi zwałami chmur zaśmiało się słońce tak niewinnie jak dziecko, które coś złego uczyni, a potem oczami bez zdrady prosi o przebaczenie i uniemożliwia wszelką naganę! O stare! Jakżeś mnie dziś zawiodło!

Co prawda słońce wprowadziło bardzo szybko nowy rząd i z okropności burzy stworzyło cudowny obraz. Z doliny unosić się poczęła wiotka mgła, i czepiając się swymi smukłymi ramionami i cienkimi palcami promieni słonecznych, wzbijała się na nich w górę. Chłodne, przesycone wonią żywicy i drzew powietrze, krajobraz drżący milionami skier brylantowych, cała okolica rwąca oczy świeżością i barwą! Rozglądnąłem się w koło — lecz w tej samej chwili padłem na kolano, zerwałem broń z ramienia i podniosłem ją do oka. Dwie łanie wyszły z miejsca, w którem niedawno znikł o n, a wkrótce potem rozległ się dobrze mi znany głos „A... u... a... a... e... e...!“ Łanie poczęły paść

się pod lasem i zdaje mi się, że jadły lód. W gęstwinie słyszałem łomot, i dojrzałem ciało zwierza. Spróbowałem zmierzyć... nie mogłem. Drżałem jak liść osiki — nie wiem czy z zimna, czy z innego powodu. Łanie ruszyły w dalszy pochód, lecz on nie wyłaniał się z gęstwiny, przeciwnie, umilkł zupełnie. Czekałem napróżno — słyszałem tylko ciszę. Nic to — pomyślałem — jeszcze cię znajdę! Pospieszyłem na dół, a potem rozpocząłem się wspinać na skalisty szczyt *Nesztasov'y*. Robiłem to z całym zapałem i przyjemnością, bo zmarzłem okropnie. Słyszałem jeszcze dalekie porykiwanie, które zwolna zamierało, jakby usypiając. Daremny trud — i dziś jeszcze wrócę bez złomka jedliny do domu!

Dnia 18. września słyszałem ustawicznie tę jedyną na świecie pieśń miłości, śpiewaną na wszystkie tony namiętności i nie oszczędzałem sobie żadnego trudu, ażeby podejść królewskiego zwierza; jeśli zaś dotychczas mi się to nie udało, to przynajmniej stwierdziłem na pewne, że z brzaskiem wychodzi z *Kalinov'y*, zatrzymuje się krótko na *Blaskovrostyek*, o świcie jest już na *Papai Vrch* i przechodzi albo przez *Nesztasov'ę* albo *Dlha ubocs*. Wieczorem odbywa tę samą drogę z powrotem.

Na drugi dzień, t. j. 19., przed świtem jeszcze byłem na *Papai Vrch* i zająłem miejsce nad bardzo uczęszczanym przesmykiem, przyczem stwierdziłem — z łatwo zrozumiałą radością, — że on jeszcze nie przeszedł, lecz zdąża w tym kierunku z *Blaskovrostyek*. Towarzyszyło mu 9 lub 10 „przyciołków“, rycząc jak stado opętańców, on jednak odzywał się rzadko swoim poważnym rykiem.

Rozwidniało się zwolna, a wiatr miałem także pomyślny. Teraz możesz przyjść królewiczu! Posiędę cię z pewnością! Kapitalny czternastak przeszedł koło mnie. Złożyłem się do niego; jeśli tylko on tak nadejdzie, będzie mój! Tak minęło kilka minut, przyczem moje napięcie nerwów sięgało szczytu. Las cały brzmiał odgłosami ryku, zdawał się święcić prawdziwą bachanalję miłości. Czegoś podobnego nie słyszałem jeszcze nigdy. Szemrzały liście, trzeszczały gałęzie, — wokół widziałem wspaniałe byki, a żaden z nich nie milczał. Opodal przedemną walczyły zacięcie dwa byki, wreszcie silniejszy odpędził słabszego i rycząc ruszył dalej. Prastary las drgał potężnem i bujnem życiem, huczał namiętną pieśnią szału, potęgowaną rozgłośnem echem.

Gorączka lasu udzielała się zwolna i mnie; począłem tracić zimną krew. Oto, z trzaskiem i łomotem wychodzi wspaniały dziesiątak. Jego wieniec waży z pewnością osiem do dziesięciu kilogramów. Za nim stąpa majestatycznie byk z bardzo wysokiem porożem o potężnej koronie. Byłżeby to on? Nie, jego głos słyszę doskonale gdzieindziej, a ten wieniec niema tej rozpiętości. Przypadkiem trącam broń i jeleń stanął jak wryty o dziesięć kroków przedemną, patrząc wprost we mnie. Przymknąłem oczy... aby go nie spłoszyć. Lecz zwierz rzucił się gwałtownie w bok strasząc cztery czy pięć razy. Jakby śmierć przeszła — cisza! Koncert skończony. Osiem łań przedefilowało opodal, nie dostrzegając mnie, może za niemi nadejdzie i on... Czekam z dziesięć minut, ale nie słyszę nic. C. d. n.



Łowiec polski.

Żubry w puszczy Białowieskiej.

Tajemnicza sprawa padania dziesiątków rzadkich i cennych żubrów w puszczy Białowieskiej, wywołała powszechne zainteresowanie w świecie myśliwskim. Redakcja nasza czyniła starania, niestety, bezskuteczne o uzyskanie szczegółów z pierwszego źródła, dotyczących przebiegu i powodów choroby. Lecz oto w wileńskim „Gońcu Codziennym“ ukazał się niezmiernie ciekawy artykuł w tej sprawie, obeznanego z przedmiotem fachowca, p. Franciszka Glińskiego z Białegostoku. Artykuł ten powtarzamy skwapliwie w całości.

Nie nazbyt chyba odległym jest czas, gdy król puszczy Białowieskiej, — żubr, to tak rzadkie i ciekawe, tak olbrzymie i wspaniałe, a nam, niestety, mało znane zwierzę — zniknie z lądu Europy zupełnie. Dziwić się nawet niemal trzeba, w jaki sposób morituri te królewstwa zwierząt, oddawna już przez badaczów przyrody na stopniowe, chociaż i powolne wymieranie skazane, jeszcze żyją i, co prawda w nader nieświetnych warunkach, lecz bądź co bądź przechowują się w puszczy Białowieskiej dotąd.

Liczba żubrów, wówczas, gdy w roku naprzykład 1857 wynosiła aż 1898 głów, w roku 1860 już tylko 1575; a w roku 1865—639, obecnie waha się już wciąż tylko pomiędzy 400 a 500, częściej zbliżając się do pierwszej, nigdy zaś prawie nie przenosząc ostatniej. Nic przeto dziwnego, iż skoro na wiosnę roku bieżącego pisma podały wieść o pojawieniu się wśród rogacizny wsi sąsiednich z Białowieżą zarazy syberyjskiej, ludzie niewtajemniczeni, ba, redakcje nawet poważnych dzienników pośpieszyły wyrazić obawę o możliwość przejścia epidemji tej i na żubry.

Obawa ta stała się, w przekonaniu wielu, pewnikiem niemal, skoro wkrótce ogłoszono urbi et orbi, iż padło od zarazy 40 naraz żubrów. Od jakiej zarazy, nikt nigdzie nie pisał. Rzecz przeto jasną była niby dla ogółu, iż przyczyną wymarcia dziesiątej niemal części wszystkich żubrów w Białowieży, mogła być tylko zaraza syberyjska.

Tymczasem, według mnie, nigdy dotąd jeszcze żadna epizootja, dziesiątkująca nieraz inwentarz sąsiednich z Białowieżą wsi i osad, żubrów nie tknęła nawet. Prawda, istnieje podanie, iż w puszczy Jochturowskiej, leżącej między Błoniem, a Wiskitkami i Sochaczewem, a gdzie według Jarockiego, do roku 1627 przechowywało się stadko żubrów, turami naonczas tam zwanych, w roku podobno 1599 większa część żubrów miała stać się niby pastwą grasującej w okolicy, morowej zarazy. Tem niemniej jednak wnosząc z tego, iż ponieważ ile razy tylko panowała epidemia w okolicach Białowieży i ileby ofiar wśród bydła rogatego, pasącego się tuż obok nieraz ostępów żubrowych nie zabierała, żubry zawsze wychodziły z opresji tej zwycięsko, twierdzę, iż żubrom, — dlaczego — to kwestja osobnego studjum, — żadna zaraza straszną nie jest i nie była dotąd.

Jeśli wszakże, od czasu do czasu, a zwłaszcza na wiosnę, po śnieżnej i długotrwałej zimie (jaką, mówiąc nawiasem, mielismy właśnie i w tym roku) wpośród żubrów daje się zauważyć większa, niż zwykle, śmiertelność, to tak á priori, jak też opierając się na zdaniu ludzi kompetentnych, śmiem dowodzić, iż według mnie, dwie mogą być przyczyny przewodnie.

Jedną z nich jest to, iż żubry, skoro zapas siana, dla nich specjalnie zbieranego i przechowywanego w rozsianych po odstępach stogach, wyczerpie się, ogryzają korę z drze-

wa nierzadko i pożerają, obficie na błotnistym gruncie puszczy rosnącą, roślinę „Cicuta virosa“ i w ten sposób trują się. Że zaś siana, o którem przed chwilą mówiliśmy, nigdy nie może być tyle, żeby żubry nie czuły się głodne, najlepiej dowieść nam potrafi następnych kilka danych liczbowych.

Przestrzeń, na której rośnie obficiej ulubiona przez żubry trawa (Hierochloe borealis) „Żubrówka“ (w Polsce „turówką“ zwana) nie przenosi 1000 dziesięcin. Jeśli przeto, dajmy na to, z każdej dziesięciny, przeciętnie, otrzymamy po dwadzieścia pięć pudów siana; dalej liczbę żubrów w puszczy (nie licząc cieląt) określimy przez 400, czas zaś, w przeciągu jakiego żubry karmią się wyłącznie sianem tylko, przyjmiemy za 4 miesiące, — to przyjdziemy do wniosku, iż na każdego żubra wypadnie zaledwie po 20 funtów siana na dobę. Dla takiego olbrzyma, jak żubr, który, jak tego dowodzą badania i obserwacje w zwierzyńcach prywatnych, oraz ogrodach zoologicznych czynione, jest w stanie zjeść dziennie co najmniej pud siana obok 4 do 6 garncy owsa, — porcja to niezbyt, niestety, dostateczna. Nic przeto dziwnego, iż głód, ten nawet u ludzi zły doradca, zmusza biedne zwierzęta bądź do ogryzania kory z drzew, tak nawet twardych, jak grab i jesion, co stępia zęby u żubrów do tego stopnia, iż tracą one zdolność przeżuwania dostatecznego pokarmu, chudną i zdychają, z powodu pożerania wzmiankowanej już przed chwilą trującej rośliny — cykuty.

Drugą przyczyną powodującą większą, niż zwykle, śmiertelność wśród żubrów i często dającą powód do przypuszczenia, iż w puszczy grasuje zwykła jakaś epizootja, — jest raz ścichająca zupełnie, to znowu przyjmująca charakter epidemii, dużo nieraz, jak tej wiosny naprzykład, ofiar kosztująca w żubrach, choroba spowodowana przez znaną dobrze badaczom przyrody wogóle, weterynarzom zaś w szczególności, dwuustkę wątrobianą (Distoma hepaticum).

Jest to glista płaska, jedna z największych dwuustek napotykanych w ciele człowieka (u mieszkańców Islandji) i zwierząt domowych, rozmnażająca się przez wielce skomplikowaną przemianę pokoleń, a więc należąca do szeregu hermafrodytów. Długość jej 16 do 32, a nieraz i do 40 nawet milimetrów, szerokość 6 do 12 mm. Po przejściu wielu nader ciekawych stadjów, glista ta wraz z pokarmem, przez kiszkę dostaje się do kanałów żółciowych, oraz pęcherza żółciowego i wątroby żubra, gdzie rozmnaża się do 100 i 200 nawet nieraz jednostek, i sprowadza w ten sposób zapalenie wątroby, chorobę nieuleczalną, od której głównie, według mnie, padła i w tym roku właśnie dziesiąta część żubrów puszczy Białowieskiej.

Sprawdzono, iż choroba ta pojawia się wyłącznie niemal w miejscowościach nizkich, błotnistych, na mokrych pastwiskach, w jakie właśnie tak obfituje Białowieża. Porażone nią żubry stają się powolnymi, apatycznymi, tracą apetyt, gdy pragnienie jednocześnie się zwiększa. Symptomaty choroby stopniowo stają się coraz widoczniejsze. Zjawia się gorączka, skóra przestaje być jędrną, oko blask traci, sierść zaczyna wypadać, na głowie i gardle pojawia się puchlina. Żubr dostaje kaszlu, biegunki i, po 3 do 5 miesiącach najwyżej zdycha.

Uleczyć od choroby tej żubra — trudno. Leczyć, za pomocą środków podtrzymujących skład normalny krwi, jak naprzykład żelaza, oraz gorzkich przetworów i roślin, można. Do tego jednak potrzeba przedewszystkiem, aby w liczbie całej armji urzędników i oficjalistów w zarządzie była pewna ilość specjalistów-weterynarzy, a tych właśnie tam braknie niestety. Prawdziwie zaś Hamletowskie „być albo nie być“ — dla przepięknych tych, wspaniałych, na powolne wymarcie, jak widzimy, skazanych zwierząt, stanowi warunek rozszerzenia przestrzeni łąk w puszczy, osuszenie błot i t. p. reformy, a obok nich — radykalne, jeśli i to jest możebnem, usunięcie kłusownictwa.

Przegląd piśmiennictwa łowieckiego.

STANISŁAW ŁOBOS.

Myśliwstwo polskie w obcej prasie łowieckiej.

Ciąg dalszy.

Mamy bowiem dwa sposoby polowania na słonki jesienią, a mianowicie: „z nagonką“ i „buszowanie“. Przy tych sposobach polowania nie można rozpoznać płci u słonek, giną więc i samiczki. Polowania zaś na ciągu nie można brać w rachubę, gdyż wtedy ciągną one szybko i późno pod wieczór, tak, że tylko doskonały strzelec, obdarzony bystrym wzrokiem, może liczyć na pewny wynik.

W następnym artykule mamy opisy polowań na kuropatwy i przepiórki.

Galicja nie odznacza się wcale wielką ilością kuropatw; pod tym względem przewyższają ją znacznie zachodnie kraje Austrji. W niektórych tylko okolicach zachodniej Galicji występują one w poważnej liczbie, ale im dalej posuwamy się ku wschodowi, tem rzadziej napotykamy kuropatwy. W niektórych nawet okolicach brak ich zupełnie.

Na taki zły stan składają się następujące przyczyny: mnogość szkodników, niedawanie w zimie pokarmu i nadzwyczaj mroźne i śnieżyste zimy.

Brak kuropatw wynagradzają w części przepiórki, które szczególnie w wschodniej Galicji pojawiają się w wielkiej ilości, zwłaszcza po suchem lecie.

Tak np. 1904 roku przepiórki tak dopisały, że autor 9. sierpnia wracał z polowania do domu z 60-cioma przepiórkami.

Odlatują one w ciągu drugiej połowy września, stosownie do stanu powietrza; deszcz i zimno przyspiesza ich odlot. — Niektóre osobniki, zapewne z późnego lęgu, pozostają jeszcze dłużej, tak, że można czasem spotkać się z przepiórką nawet z początkiem listopada.

Z odlotem przepiórek na wielu polach zamiera życie, gdyż z wyjątkiem kilku zajęcy i mnóstwa szkodników, oko myśliwego nie dopatrzy innej zwierzyny.

Artykułem o lisach kończy autor swój opis myśliwstwa w Galicji.

Ze wszystkich szkodników najpospolitszym jest lis. O obfitości lisów świadczy najlepiej opisane przez autora

polowanie, podczas którego na niewielkiej przestrzeni zabito dziewięć lisów. Do „dobrego tonu“ w Galicji należy, gdy na rozkładzie znajdzie się „mykita“. — Z tego to powodu żywi się lisy padliną końską i w ten sposób zabezpiecza się inną zwierzynę przed ich żarłocznością.

Na podstawie własnych doświadczeń poleca autor ten sposób myśliwym, którzy chcą lisami urozmaicić rozkład swoich polowań.

Tak mniej więcej przedstawia p. H. Eichler nasze myśliwstwo. Nie wdając się bliżej w szczegółową krytykę, muszę tylko zaznaczyć ogólnie, że sąd jego wypadł dla naszego myśliwstwa korzystnie, co dość rzadko się zdarza, bo Niemcy są zawsze uprzedzeni do wszystkiego co polskie, a więc i w naszem myśliwstwie widzą tylko same ujemne strony.

Podniósł wprawdzie p. H. Eichler braki naszego myśliwstwa, ale o ile one nie zostały usunięte w ostatnich czasach, dotyczą, jak sam powiada, tylko polowań gminnych, które nietylko u nas dostają się nieraz w niedobre ręce. Natomiast stwierdza, że w wielkich dobrach właścicieli dóbr i w łowiskach należących do towarzystw myśliwskich, gospodarka łowiecka stoi na wysokim stopniu rozwoju.

W ogóle trzeba przyznać, że autor stara się patrzyć na nasze myśliwstwo ze stanowiska bezstronnego, a z całej jego pracy widać, iż nie są mu obce nasze stosunki łowieckie.

Własne doświadczenie, to materjał autora do powyższej pracy. Z tego bogatego źródła czerpie obficie, urozmaicając ogólne poglądy znaczną ilością przykładów z własnych przygód myśliwskich.

Praca ta ma dla naszego myśliwstwa ogromne znaczenie, zeszyt ten bowiem dostanie się do rąk obcych myśliwych i sprostuje niejedno mylne pojęcie o naszem myśliwstwie.

Prócz opisu myśliwstwa Galicji zawiera ten zeszyt także opis łowiectwa na Bukowinie, tylko w daleko mniejszych rozmiarach.

Tak bogatą treść urozmaicają fotograficzne zdjęcia myśliwskie, z których dziewięć odnosi się do naszych polowań.

Prócz tych, mamy jeszcze opisy myśliwstwa Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi. Opisy te możemy znaleźć w zeszycie specjalnym, poświęconym łowiectwu Rosji, a doskonale opracowanym przez nieznanego autora, ukrywającego się pod pseudonimem: J. K. Silwanus.

Podobnie, jak wyżej opisany zeszyt, tak i ten, rozpoczyna artykuł ogólny o stosunkach myśliwskich w Rosji. Między innemi napotykamy wzmianki bliżej nas obchodzące. Tak, przy przedstawieniu stanu zwierzyny pisze autor, że w niektórych okolicach Polski i zachodnich prowincji, gdzie przed 30 laty, jak się wyrażano, „roiło się“ od zwierzyny, dziś okazuje się jej brak. Dzieje się to wskutek czysto miejscowych stosunków, wedle których nie możemy oceniać całego kraju, tj. Rosji.

Jaskrawym na to przykładem jest między innemi Polesie, gdzie na zmniejszenie się stanu zwierzyny wpłynęło osuszanie kraju. Po obeznaniu czytelników z położeniem, obszarem, skreśla autor dawną przeszłość łowiecką tej dzielnicy Polski.

Polesie wraz z puszczą Białowieską słynęło od dawna z obfitości zwierzyny; to też chętnie spędzali tam czas na łowach królowie polscy, Jagiellonowie, Zygmunt III., August II. Mocny.

Po rozbiorach Polski przeszło Polesie w posiadanie Rosji, a znaną puszczę Białowieską, dawną własność królów polskich, wcielono w XIX. wieku do dóbr rządowych.

Najrozleglejsze posiadłości na Polesiu posiadał i posiada starożytny ród Radziwiłłów. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda trocki, zasłynął szeroko, jako największy swego czasu myśliwy.

Około 1880 roku przystąpił rząd do osuszania Polesia. W ten sposób uzyskano ziemi ornej około 100 ha, łąk 350 ha, a 500 ha suchych lasów; co zupełnie nie odpowiada nałożonym kosztom. — Nie z interesów gospodarczych, ale raczej ze strategicznych, przedsięwzięto te prace.

Objęte osuszaniem okolice, nie posiadają dziś żadnej zwierzyny, a na komunikacji wodnej nic nie zyskano, bo nie ma czego przewozić. Tylko w wielkich, zamkniętych posiadłościach utrzymała się zwierzyna.

Po tym ogólnym artykule, przedstawia autor myśliwstwo poszczególnych części Rosji.

Z tych opisów oczywiście, posiadają dla nas szczególniejsze znaczenie te, które dotyczą ziem polskich.

W artykule zatytułowanym: „Południowo-zachodnia i wschodnia Rosja“, omawia autor myśliwstwo Królestwa Polskiego, Wołynia, Podola i Ukrainy z Besarabją.

Polska i część Wołynia pod względem myśliwskim jest zbliżona do Białej Rusi i zachodnich prowincji Rosji; stepowy zaś charakter Podola i Ukrainy wpłynął na odrębne ukształtowanie się tamtejszych stosunków łowieckich.

Co się tyczy Wołynia, to z wyjątkiem dóbr „Zastaw“ i „Sławuta“, należących do hrabiów Potockich i książąt Sanguszków, gdzie stoi wysoko gospodarstwo leśne i łowieckie, i innych większych posiadłości, reszta lasów skazaną jest na zagładę.

O zalesienie nikt się nie troszczy, tylko w zaszanowanych lasach trzymają się jelenie i sarny, których potężne wieńce i rożki muszą wzbudzać zachwyt.

Dziki nie występują w wielkiej ilości, natomiast wilki należą do pospolitych szkodników, które są nawet i dla ludzi niebezpieczne, szczególnie w zimie. Poluje się na nie w zimie z nagonką, gdy ponowa umożliwia otropienie, a w lecie na wabia, przyczem można wygubić czasem i całe gniazdo wilków.

Z ptactwa, głuszec należy do stałej zwierzyny, stada dropi widzieć można jesienią na rozległych polach. W mnogich stawach gnieżdżą się gęsi, żórawie, różnorodne odmiany kaczek i czaple.

Podobnie jak wszędzie w Rosji, tak i tu daje się odczuć brak poszanowania odnośnych ustaw.

W Królestwie Polskiem, gdzie stan zwierzyny, z wyjątkiem większych posiadłości, znacznie podupadł w poprzedniem stuleciu, zdziałano wiele w ostatnich 20 latach celem podniesienia łowiectwa. Ogromne zasługi pod tym względem położyły zawiązane tam towarzystwa łowieckie.

Z okolic, wyróżniających się dobrym stanem zwierzyny, wymienia autor: powiat sandomierski, lubelski, skalbmierski, suwałkowski (szczególnie ptactwo wodne) i inne.

W sarny obfitują dobra hr. Potockiego (Jabłonna i Staszów), dalej Osochów, Młochów pod Warszawą, gubernia siedlecka i dobra hr. Krasińskiego.

Nieprzestrzeganie ustaw łowieckich, rozwielmożnione kłusownictwo i służebności, szczególnie paszenia bydła w lasach, ujemnie wpływa na podniesienie stanu zwierzyny.

Opis Królestwa Polskiego wypełnił zaledwie pół strony, co w stosunku do obszaru kraju jest trochę za mało.

Podole i Ukraina ma właściwe sobie polowania na dropie i z chartami.

Polowania par force wygubiły zwierzynę, prócz posiadłości tych myśliwych, którzy w ten sposób polują jedynie na lisy i wilki.

Podolski chart rzadko jest czystej krwi; rosyjskie charty długowłose nie nadają się do stepów podolskich. Pochodzenia turkomańsko-tureckiego podolski chart dawał sobie dawniej rady ze starym wilkiem, dziś zaledwie młodemu może sprostać.

Za przykładem Anglików, wprowadzono polowanie z biglami. Polowanie to połączone jest ze znacznymi kosztami, tak, że nieraz, jak się wyraził pewien szlachcic, patrzący na taki sposób polowania z ekonomicznego punktu widzenia, „50 tysięcy rubli goni za 1 rublem, tj. zającem“.

W tem miejscu nasuwa się w pamięci wiersz pod tytułem „Na stepie“ (Leopold hr. Starzeński: „Z gawęd starego myśliwca“, Warszawa 1900), w którym spotykamy podobną myśl w rymy ujęte:

„Pomnę, co mi rzekł sąsiad mój, bardzo praktyczny:
„Patrząc raz na biglowy taki zastęp liczny:
„Zaraz w myśli obliczył wartość psów i koni:
„Trzy tysiące dukatów za guldenem goni.“

Najpiękniejszym polowaniem, czytamy dalej o Podolu, jest podjeżdżanie dropi. Podjeżdża się zwykłym, drabiniastym wozem, napełnionym snopkami, na którym siedzą myśliwi poprzebierani za chłopów, ukrywając starannie swą broń, aby niczem nie zdradzić swojej obecności. Wóz okrąża napotkane stado dropi, a w miejscach stosownych wysiadają nieznacznie myśliwi, kryjąc się za snopkami wyrzuconymi z wozu. Gdy w ten sposób otoczy się półkolem stado, podjeżdża wóz z przeciwnej strony wprost na dropie. Ukryty na nim myśliwy może, skoro wóz zbliży się na odległość strzału, strzelać do stada na ziemi. Na strzał porywają się dropie. Zanim wzniosą się w górę, rozpędzają się po ziemi tak, że nieraz i ukryci za snopkami myśliwi mogą strzelać do biegnących po ziemi, a kto nie wyzyska tej sposobności, pozostaje mu strzał do lecących w powietrzu.

Jest jeszcze jeden sposób polowania na to, tak nadzwyczaj czujne ptactwo. Dropie spędzają noc w ostrożności na otwartym stepie, a dopiero po wschodzie słońca ciągną na żer. Zanim zapadną na pola, zataczają szerokie kręgi w powietrzu. Ukryty w kukurydzy myśliwy, o ile mu szczęście dopisze, może strzelać do przeciągających nad nim dropi. W ten sposób można ubić kilka, bo choć jeden z nich spadnie, to pomimo tego pozostałe tak długo krążą, dopóki nie zoczą myśliwego.

Na licznych stawach, błotach, znajduje bezpieczne schronienie rozliczne ptactwo wodne i błotne, a w rozległych oczeretach napotkać można lisa i wilka.

Mimo tego drobna zwierzyna zaczyna zanikać, a to wskutek braku kultury łowieckiej i kłusownictwa wypuszczonych żołnierzy.

W ostatnich czasach właściciele ziemscy przystępują do racjonalnej hodowli zwierzyny, a polowania par force na pożyteczną zwierzynę zaczynają wychodzić z użycia.

„Najciekawszym krajem łowieckim, mającym za sobą kilkuwiekową przeszłość, jest Litwa.“

Temi słowy rozpoczyna autor najobszerniejszy z całego zeszytu opis myśliwstwa Litwy i Polesia. Znać z tego, dziewięć stron obejmującego opisu, że autor miał sposobność poznać dokładnie łowiectwo tych krajów. Krótki zarys historji łowiectwa polskiego z wyszczególnieniem Litwy, poprzedza przedstawienie dzisiejszych stosunków łowieckich.

Zapiski dziejopisów z czasów, gdy Litwa należała do Polski, sięgają do X. wieku. Prawo polowania w Polsce przysługiwało wówczas wyłącznie panującemu, na którego dworze osobny urzędnik „łowczy“ (venator) miał powierzoną pieczę nad łowiectwem. Dopiero z początkiem XIII w. otrzymali magnaci i biskupi przywilej polowania w własnych posiadłościach. W drugiej zaś połowie XIV w. rozciągnięto ten przywilej na całą szlachtę.

Litewski statut zatwierdzony w r. 1420, zmniejszył kary za występki łowieckie, ograniczył celem zapobieżenia szkodom w polu, wolność polowania tylko do pewnego czasu, nie uwzględnił jednak obowiązku wynagradzania szkód, wyrządzonych przez zwierzynę.

Prawidłowo polować mogli tylko więksi właściciele, gdyż łowy wymagały wówczas mnóstwa przyborów i znacznej liczby służby łowieckiej. Nie mniej kosztowne były polowania z sokołami i ogarami.

Polowanie z sokołami, stanowiące ulubioną rozrywkę szlachty, było przywiązane do tego stanu. Pewien stary kronikarz opowiada, że można było widzieć szlachcica odzianego niezupełnie odpowiednio do swego pochodzenia, posiadającego jednak nieodłącznego sokoła, którego cena, zależnie od pochodzenia dochodziła do kilku setek złotych polskich. Sokoły taurydzkie cieszyły się światową sławą, sokoły jednak z Białowieży przewyższały je wytrwałością. Podczas gdy pierwsze pełniły posługi przez 3—5 lat, białowieskie nieraz 10—12. Takie sokoły wysyłał Jan III. Sobieski w podarunku innym ukoronowanym myśliwym.

Zastosowanie broni palnej do celów łowieckich z końcem XVII i XVIII wieku wpłynęło na zmianę myśliwstwa. Wypadki dziejowe w tym czasie odrywały szlachtę od polowań. Na ten czas przypada także wyjście z użycia dawnego zwyczaju robienia wypraw łowieckich, podczas których niejeden myśliwy z pocztem służby łowieckiej i taborem wozów opolował znaczną część kraju, a odtąd zaczęto polować tylko w własnych posiadłościach.

Od tego czasu Litwa, przez swoją obfitość i różnorodność zwierzyny wysuwa się na pierwsze miejsce, na którym utrzymała się do obecnych czasów. Sławę jej potęguje puszcza Białowieska, która jest kolebką tak rzadkiego dziś żubra. Prócz puszczy Białowieskiej, którą autor dokładnie i szczegółowo opisuje, nie brak i innych wielkich obszarów, których zwierzostan budzić musi podziw każdego myśliwego. Na pierwszem miejscu wymienia autor Nieśwież, własność ks. Antoniego Radziwiłła, dalej Ołykę ks. Ferdynanda Radziwiłła, dobra J. hr. Potockiego, ogromne posiadłości hr. Tyszkiewicza w gub. kowieńskiej i wielu innych.

Prócz łowów na grubego zwierza, szczególnie ciekawem jest polowanie na pardwy. Poluje się na nie podobnie, jak na kuropatwy, tylko strzał do nich jest o wiele trudniejszy, a to z tego względu, że padrwa leci nizko nad ziemią i między krzakami.

W dalszym ciągu podaje autor opis polowania w zimie na niedźwiedzie i łosie. Prócz podjeżdżania łosi sankami

w zimie, istnieje jeszcze jeden szczególny sposób polowania na tego zwierza, używany w okolicach Mozyru. Kiedy mianowicie na wiosnę wezbrane wody Prypeci zaleją kraj, chroni się zwierzyna na wyniosłe miejsca oblane dokoła wodą. Dopiero po 8—14 dniach zaczyna woda opadać, a wtedy myśliwi z nagonką na czółnach otaczają te wyspy. Za pierwszemi strzałami padają szkodniki, dopiero potem przychodzi kolej na zwierzynę pożyteczną. Łosie pierwsze rzucają się do wody. Na takich polowaniach można widzieć i do 100 łosi razem na takiej wyspie.

Prócz tego sposobu polowania obszerniej wyjaśnia autor polowanie na cietrzewie zapomocą wabików zwanych „bałwanami“ i łapanie kaczek w sieci rozpięte na drzewach.

Koniec artykułu obejmuje dłuższa wzmianka o wilkach, które dochodzą na Litwie do największych rozmiarów.

Wyżej podana ogólna uwaga, że zeszyt rosyjski odznacza się doskonałością opracowania, odnosi się w szczególności i do opisów naszego łowiectwa. Opisy te zajmujące prawie połowę zeszytu, dadzą obcemu szerszy pogląd na nasze myśliwstwo. Autor bowiem nietylko odsłania dzisiejszy stan łowiectwa, ale nawet sięga w jego przeszłość.

Mimo, że te opisy kryją się pod firmą myśliwstwa Rosji, to jednak przedstawione w nich nasze myśliwstwo nie utraciło wcale swej odrębności. Polski charakter podnosi w pierwszym rzędzie przytoczony przez autora materjał historyczny, dalej uwydatnienie oryginalnych sposobów polowania, przy których autor posługuje się często polskiemi wyrażeniami, jak np. „gawra“, „łochwa“, „bałwany“ i t. d.

To zaznaczenie odrębności myśliwstwa polskiego podnosi wartość całej pracy, a z nią i zasługę, jaką oddał J. K. Silvanus naszemu łowiectwu.

Do zupełnego obrazu łowiectwa polskiego brakuje nam jeszcze opisu myśliwstwa Księstwa Poznańskiego. Ze względu, że redakcja „Jagd und Wild“ wydała już zeszyty przedstawiające łowiectwo poszczególnych krajów Niemiec, jak np. Bawarji, Hanoweru, spodziewać się można, że doczekamy się opisu i Księstwa Poznańskiego. Skoro on się pojawi, nie omieszkam złożyć z niego sprawozdania.



Pawilon konkurencji trofeów

na I. Międzynarodowej wystawie łowieckiej w Wiedniu 1910.

Ciąg dalszy.

Z zupełnym uznaniem należy wspomnieć o zbiorach dóbr Nisko, w Galicji, a to za liczne kapitalne rożki sarnie, jakoteż o wystawie hr. Ferdynanda Trautsmannsdorfa, hr. Hompescha i rotmistrza Gellinka.

W dalszym ciągu zwraca uwagę wspaniały okaz rożków sarnich ósmaka, zupełnie wytartych, zdobytych przez hr. Leona Auersperga, a niemniej zajmującą jest kolekcja rożków von Schöllera, złożona z okazów bardzo silnych i starannie dobranych. Pomiędzy nimi wyróżnia się jedna para nadzwyczaj gęstem i bujnem uperleniem róż, tem szczególniejszem, że prawa z nich ma jakby osobną gałązkę, powstałą z nadmiernie wybujałej perły.

Pociąga też uwagę widza zbiór rożków nienormalnych wystawiony przez panią Forster, która ponadto wystawiła parę niezwykle ukształtowanych rożków kozicy i bardzo dobrze spreparowaną głowę rogacza-perukarza.

Dla naturalisty, studjującego kwestję rożków i ich nienormalności, bardzo ciekawym i godnym widzenia jest okaz głowy siuty, z 1899 r. własność Dr. Emila Rislera, ozdobionej rożkami w scypule, wysokimi na 14 cm., a wykazującymi formę szpiczaka. Objaśnienie poniżej tego okazu umieszczone powiadamia, iż w tej samej okolicy, z której on pochodzi, ubito także dwa perukarze i znaleziono jeden zrzut taksamo zniekształcony. Sekcja ubitej kozy nie dała w kierunku badania organów rozrodczych żadnego rezultatu, mimo to kozy tej nie widziano nigdy z młodymi. Opodal tej zajmującej kolekcji, stanowiącej osobny dział na wystawie, umieszczono również anormalne okazy perukarzy, będące własnością towarzystwa myśliwskiego w Brunneck.

Tutaj nasuwa się jedna myśl. Komitet wystawy nie dopuścił zupełnie okazów nienormalnych do konkurencji powodując się trudnościami w oznaczeniu ich wartości, a zarazem dość trudnem do rozstrzygnięcia pytaniem jakiemu „monstrum“ trzebaby przyznać, a jakiemu odmówić nagrody. Niemniej jednakże konkurencja okazów nienormalnych byłaby ogromnie ciekawa i z pewnością wiele trofeów tego rodzaju otrzymałoby nagrody. Z braku miejsca nie podobna tutaj wszytkich anormalności opisywać, tem więcej, że opis ów wtedy tylko mógłby mieć pewną dla czytelnika wartość, gdy do dokładnych zdjęć, dodano objaśnienia i studja fachowców. Ograniczyć się zatem muszę do wzmianki o rzeczach najciekawszych i najosobliwszych a do tych bezwarunkowo muszę zaliczyć rożki rogacza wystawione przez p. Kral'a. Stawało przed nimi moc ludzi z podziwu. Lewy pień jest całkiem prawidłowo wykształcony; natomiast prawy pochyla się nad oko, prawie na całą szerokość kości czołowej, a na nim, pionowo do góry, wyrasta dwie gałązki, wysokich do 3 cm. Z róży nienormalnie osadzonej, mającej w obwodzie około 22 cm., wyrasta dalszych pięć odnóg.

W lewym skrzydle budynku, pomieścił c. k. zarząd dóbr państwowych swoje trofea. Sam sposób ich rozmieszczenia w dwu grupach, na dwu przeciwległych ścianach dowodzi, że czynną tu była umiejętna ręka znawcy, rozumiejącego w jaki sposób należy okazy uporządkować, aby ich łowieckie znaczenie zrozumiałe było równie łatwo dla laika jak i myśliwego, a ważną tę okoliczność, — niestety nie wszędzie uwzględnioną — należy podnieść z całym uznaniem. Wszystkie okazy grupują się około wspaniałej skóry niedźwiedzia, ubitego 13. kwietnia 1906 w Jasieniu przez Dr. Burzyńskiego, tamtejszego zarządcę lasów; pomiędzy nimi warto wymienić wspaniały łeb odyńca, wieniec jeleni, za swoje uperlenie i poprawne ukształtowanie kilkakrotnie premjowany, rożki sarnie, dziesiątaka, ósmaka i szóstaka — wszystkie z galicyjskich domenów rządowych, następnie kolekcja bardzo silnych i pięknie uperlonych rożków sarnich z Bukowiny, z lasów funduszu religijnego grecko-orjentalnego. Dalej idą typowe rożki sarnie z Wiener Walde, trofea Emila Böhmerle'a i Schumanna.

Z pomiędzy wieńców wymienić należy poroże czternastaka, zdobytego w Joachimsthal przez wspomnianego już

Emila Böhmerle'a i nieregularnego czternastaka, którego gałązka nadoczna posiada odnogę około 6 cm. długości.

W sposób bardzo pouczający ułożył c. k. Zarząd wystawę rożków kozic, rozczłonkowując je wedle krajów i formacji szczytów górskich, uwidoczniając tym sposobem różnice typów. Najładniejsze okazy pochodzą z Alp Julijskich, z kozic ubitych przez radcę leśnictwa Feith'a, następnie z Tyrolu i górnej Styrji. W ogólności trzeba stwierdzić, że na brak tych trofeów nie mogła się wystawa bynajmniej uskarżać; było ich wiele i bardzo ładnych; rożki kozicy wystawione przez ks. Windischgrätza i dwa kapitalne okazy rożków sarnich tego samego wystawcy, zdobyte w Krainie, powinne zająć każdego myśliwego polującego w górach. To samo powiedzieć można o kolekcji hr. Khevenhüller-Metsch'a. Z rożków kozic z austrjackich rewirów alpejskich wspomnieć jeszcze wypada o dwu wyjątkowo silnych parach, wystawionych, przez Augusta Gröbnera i Exnera oraz o rożkach Józefa Luckmanna i Roberta Winklera, które odznaczają się swą siłą i prześlicznem karbowaniem, znamionującym, że obie sztuki, z których te trofea pochodzą, musiały być bardzo stare.

Bardzo zajmującą kolekcję trofeów bośniackich dał kapitan Bratanitsch, złożoną z 6 par rożków kozic i tyluż par sarnich; okazy równie godne pochwały jak wymienione, widzieć można w zbiorach kap. Oskara Gallée.

Osobliwy typ przedstawiają rożki kozicy z kolekcji Hötzingera, a to dzięki bardzo dużej rozłożystości i rozstawieniu krzywizny rożków na zewnątrz. Nienormalnaść ta budzi tem większe zajęcie, że nie jest bynajmniej odosobniona; można ją spotkać, choć dość rzadko, w okazach pochodzących z rewirów tyrolskich.

Myśliwi, polujący w rewirach alpejskich, przyzwyczajeni do tego, że rożki o 24 cm. długości (po krzywiźnie) uchodzą już za wyjątkowo silne, zdumieć muszą na widok okazu rożków, wystawionego przez bar. Donalda Schönberga, odznaczonego nagrodą rekordową, a pochodzącego z kozicy k a r p a c k i e j. Ich długość — rzecz wręcz niepodobna do wiary — wynosi, po krzywiźnie 33 cm., rozpiętość 20 cm., a obwód 10·5 i 11 cm.! Obok tego fenomenalnego okazu widnieje równie niepospolita rozmiarami para rożków, odznaczona pierwszą nagrodą, pochodzenia prawdopodobnie również karpackiego, mierząca 30 cm. po krzywiźnie. Właścicielem tego wspaniałego egzemplarza jest Emil Schropp. Również z Karpat pochodzi trzecia najsilniejsza para, mająca 28 cm. długości, odznaczająca się szczególnie silną nasadą — duma myśliwska Augusta Spiessa.

Liczebnie największą kolekcję rożków kozic wystawił Robert Mader. Zawiera ona okazy, zebrane przeważnie w Szwajcarji, a mieści kilka bardzo silnych i ładnie osadzonych egzemplarzy, oraz parę nienormalnych, skoszlawionych uderzeniami spadających kamieni lub lawiny, ale częściej kulą, wysłaną przez niepewną rękę i oko. Przypatrując się tym ostatnim — nie można oprzeć się przykremu oburzeniu, że ta szlachetna zwierzyna, strzelana bywa nieroztropnie i nieoględnie, szpecona lub skazywana na męczarnie, — całkiem bezkarnie.

Uczucia wręcz przeciwnego, bo żywego zadowolenia doznać musi każdy myśliwy, przekonywując się z przeglądu hali konkurencyjnej, że coraz więcej uwagi poświącają myśliwi-hodowcy zaaklimatyzowaniu u nas muflona, tej pięknej i szchlachetnej owcy. Wdzięczność w tym kierunku należy się przedewszystkiem hr. Apponyi, który nadesłał na wystawę kilka bardzo udatnie spreparowanych okazów, świadczących o umiejętnej i ofiarnej hodowli tej mało u nas znanej zwierzyny. Trofea z muflonów oglądać można również w zbiorach Ernesta Wessely, który na jeden z nich uzyskał nagrodę rekordową.

Zatrzymując krok przed okazami egzotycznymi i kończąc ten pobieżny przegląd pawilonu, — poświęcić trzeba całą uwagę jednemu jeszcze okazowi. Jeśli mianowicie baśnie ludowe i najrozmaitsze podania opowiadające o niebezpieczeństwie spotkań z niedźwiedziem, o jego potężnej sile i grozie jaką budzi, wydać się mogą często owocem pobudzonej fantazji, — to z pewnością przyzna się im skrajny realizm na widok niedźwiedzia ubitego przez śp. Andrzeja Potockiego, a wystawionego przez jego spadkobierców. Zaiste niewiadomo co więcej podziwiać, czy zimną krew i pewność myśliwego, który nie zawahał się w strzale do tej potwornej bestji, czy też jej niepojęte rozmiary, wyrażające się w wysokości 2.30 m.! W każdym razie aż nadto jest zrozumiałe, że przyznano mu nagrodę rekordową i medal złoty. Koniec.



Korespondencje.

Z wiosną b. r., w Płotyczy (pow. Kozowa) pochwycili tamtejsi włościanie okoto 2-letniego jelenia, którego przez jakiś czas trzymał tamtejszy komendant posterunku. Ponieważ nie mógł dać sobie z nim rady, sprzedał go przed tygodniem tut. masarzowi, a ten znowu odsprzedał go właśc. dóbr w Rosochowaćciu, p. Jankowskiemu. Dziwne skąd się tam jeleń mógł zabłąkać tem więcej, że w okolicy Płotyczy niema większych obszarów leśnych.

Przepiórek ogólnie brak prawie zupełny, a to tak w brzeżańskim, jak przemyślańskim powiecie, a nawet i na stepie podolskim gdzie z wielkim trudem znalazłem zaledwie 12 sztuk przez cały dzień. O stanie zwierzyny w tut. ogręgu i stosunkach łowieckich w brzeżańskim doniosę później.

J. Dawidowicz, delegat.

Wykaz ubitej zwierzyny pożytecznej i szkodliwej w czasie od 1. lipca 1909 do 30 czerwca 1910 włącznie w rewirach: Rudniki, Wołowianka, Widynów, Orelec, Załucze, Dzurów i Ilińce, razem około 10.000 morgów:

Rogaczy 4, zajęcy 120, przepiórek 10.

Dzików 13, lisów 25, psów 111, kotów 99, borsuków 2, żbików —, kun 4, tchórzy —, jastrzębi 23, sojek 113, sów 19, wron 255, srok 103, srokoszy 56, bocianów 9. Razem 966.

Michał Moysa.



Sprawy Towarzystwa.

Za sprawą pp. Krogulskiego, Zapolskiego i Żurowskiego, wpisali się w poczet członków Towarzystwa pp.:

Cassina Stanisław,
Czepielewski Aleksander Dr.
Georgeon Leon
Szeptycki hr. Stanisław.

Sprawozdanie z obrad II. Kongresu myśliwskiego, który odbył się w dniach 5. 6. i 7. września w Wiedniu, nastąpi w najbliższym numerze „Łowca“.

Kronika.

Nowy przyrząd do strzelania w ciemności. Przed niedawnym czasem skonstruowano rodzaj latarni elektrycznej, która umieszczona obok lufy karabinu, rzuca krzyżyk świetlny w ten sposób, że punkt przecięcia się jego ramion pada w punkcie wyznaczonym przez celownik i muszkę. Innymi słowy, odpada zupełnie mierzenie do przedmiotu, a strzela się wtedy, gdy krzyżyk znajdzie się w tym miejscu przedmiotu, w którym umieścić chcemy pocisk.

Próby, które w obecności arcyks. Franciszka Salvatora, odbyły się na strzelnicy w Wiedniu, w absolutnej ciemności, dały wyniki bardzo dobre na mniejsze odległości; na dalsze — ponad 50 m, okazał się przyrząd mniej dobrym, co zresztą, wobec tego, że siła światła słabnie proporcjonalnie z kwadratem oddalenia, — nie jest niczem dziwnem.

W każdym razie nowość ta, dla myśliwych polujących zwłaszcza w tropach, używających bardzo często zasiadki, i strzelających na odległości bardzo blizkie, — jest nader pożądanym i cennym nabytkiem.

Tajemniczą historję morderczo - myśliwską opowiadał przed sądem w Lipsku 43-letni handlarz mlekiem Herman Günther, oskarżony o zbrodnię oszczerstwa i zamierzonego wymuszenia.

Ów Günther straciwszy dużo pieniędzy w swoim przedsiębiorstwie, wyraził się przed służącym sądowym, który go sekwestrował, iż „w Gotha ma jeszcze przyjaciela, który mu dopomoże“.

Wedle dalszego opowiadania owym przyjacielem z Gotha miał być niedawno tam zmarły kapitalista Karol Berlet, który obiecał Güntherowi 20.000 marek za „milczenie“.

Przyczyna, która spowodowała tę umowę, tkwić miała w polowaniu. Mianowicie Berlet polując raz na rykowisku, złożył się do strzału, a Günther, który wówczas był u niego służącym, przestrzegł go w tej samej chwili, aby nie strzelał, bo nie jest to jeleń, lecz jakaś dziewczyna. Berlet, pewny swojego wzroku, nie usłuchał jednakże przestrogi i strzelił. Na miejscu przekonał się jednakże, że przestroga była słuszna, bo przed nim leżał trup, około 12-letniej dziewczyny przestrzelonej na wylot.

Günther radził, ażeby całą sprawę zgłosić do policyi i ponieść następstwa nieostrożnego obchodzenia się z bronią, jednakże Berlet nie chciał o tem słyszeć. Kazał tylko zakopać nieszczęsną ofiarę, a Güntherowi obiecał 20.000 marek, byleby o tem nikomu nie mówił, na co ten się zgodził.

Sąd, prowadzący śledztwo przedsięwziął poszukiwania w miejscu przez Günthera wskazanem, — gdy jednak nic nie znaleziono, mimo zapewnień Günthera iż mówi prawdę, skazano go na 2 lata więzienia i na utratę czci na lat 10.

Kącik humorystyczny.

Nadesłano nam korespondencję, jaka miała miejsce między dwoma myśliwymi.

Pan P., stary, 54 letni kawaler, pisze do p. Ł. 32 letniego kawalera na widokówce wyobrażającej krajobraz leśny z parą sarn:

Oto leśna idylla,
Z niej sens moralny jak na dłoni leży,
Że każdemu rogaczowi koza się należy.
Staraj się więc o kozę, póki jesteś jarym.
Byś jak ja nie został „kümmerem“ starym.

Odpowiedź P. Ł. na kartce wyobrażającej odyńca buchtującego:

„Dzięki za Twe wiersze, za widoczek ładny —
Wierszyk tentujący — choć nie bardzo składny,
W tem sęk tylko wielki leżał wciąż i leży —
Że ten czas młodości coś za szybko bieży.

Za starym już na to, aby kozę dostać,
Tembardziej, że nie chcę rogaczem pozostać.
A może lepiej na świecie mi będzie,
Gdy jako odyniec pójdę na żołędzie.
I zamiast dumań, tęsknot i wzdychania,
Bryknę sobie czasem choć w porze hukania,
A w czerwcu przyjeżdżaj zabijesz rogacza
Gdy bridga zabraknie zagramy w krzykacza.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Leśnik z kilkunastoletnią praktyką, z ukończoną szkołą dla leśniczych, z egzaminem państwowym, poszukuje posady. Zgłoszenia pod **E. O. Kraków, ulica Wolska 19, III. piętro.**

Psy rasowe „Pointery“ 8-miesięczne, prócz nich 1 pies razy „Setter“ i 1 rasy „Griffon“, w 5-tem polu, wszystkie znakomicie ułożone do nabycia w Zarządzie łowiectwa ordynacji **Borynicze**. Poczta w miejscu.

Bardzo dobre polowanie do wydzierżawienia — na rogacze, dziki, lisy, zajęcy, ptactwo. Bardzo dobry ciąg słonek, tokowisko cietrzewi. Obszar 4000 morgów, z tego 1000 morgów lasu. — Złoszenia do Zarządu dóbr Drohomyśl.

Żywą zwierzynę

Do odstrzału: koguty bażancie, zające samce, dzikie króliki.

Do rozmnoży i odświeżenia krwi: zające, kuropatwy, bażanty, głuszce, cietrzewie, samice danieli, jelenie etc.

jak najtaniej dostarcza już teraz

F. HORAČEK, największy dom eksportowy dziczyzny na kontynencie w Martinitz-Starkenbach Czechy.

Henryk Bogdanowicz

C. k. uprzyw.

FABRYKA KLOZETÓW

ZAŁOŻONA W ROKU 1885.

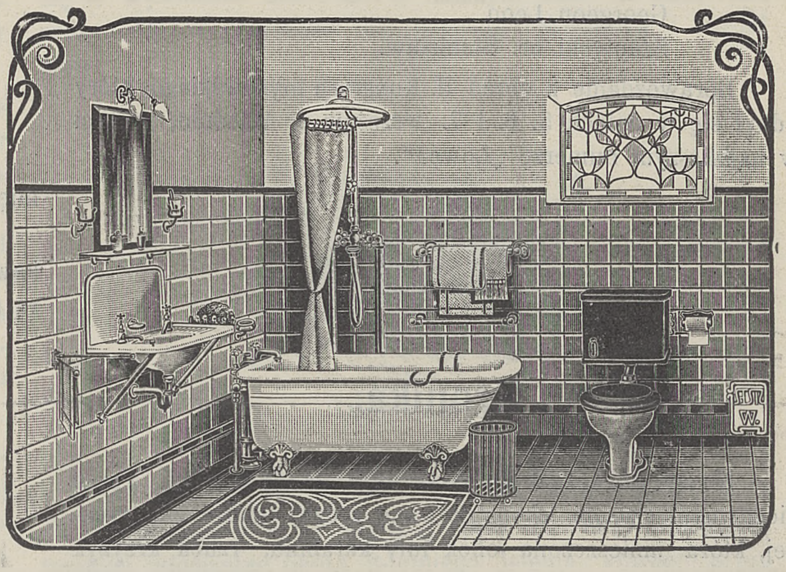
Koncesjonowany Zakład instalacyjny dla wodociągów.

Biuro, skład i fabryka we własnej realności we Lwowie, ul. Piekarska l. 13. Telefon 368.

Lejarnia z metalu i cynku przedmiotów artystycznych, figur religijnych, pomników pamiątkowych, ornamentów, alegorji do aquaryj i wodotrysków, liter, tablic i t. p.

Zakład blacharstwa, robót metalowych i t. p., łazienek, parówek, lodowni pokojowych, krzyżów, pomników, wieńców, latarń grobowych, ulicznych i klatek schodowych; zwykłych i sztukateryjnych pokryć dachów.

Z każdego działu wyrobów, na żądanie wysyła się cenniki gratis.



JUBILER

JAN JARZYNA

poleca:

wyroby złote i srebrne.

Wybór znaczny. — Ceny umiarkowane.

Lwów, hotel Europejski, plac Marjacki l. 4.

Złoty medal, wystawa kościelna Lwów 1909. Najwyższe nagrody (Grand Prix) na wystawach międzynar. we Lwowie, Paryżu, Antwerpii i Rzymie.

EUGENIUSZ MARYAN UNGER

rytownik (Graveur) oraz pracownia pieczęci metalowych i kauczukowych, dostawca c. k. Namiestnictwa i innych urzędów.

LWÓW, UL. AKADEMICKA 8.

Wykonuje: Pieczęcie, numeratory, maszynki z datami, dla Urzędów, Towarzystw, Instytucji prywatnych i urzędowych. — Tablice orjentacyjne i emaljowane.—Monogramy, herby na drogich kamieniach, napisy rytowane i cyzelowane ze złota i srebra na zegarki, laski, adresy, teki, dyplomy honorowe itp. — Skład farb do pieczęci i poduszek z niewysychającą farbą. — Odznaki dla straży polowej, rybackiej, leśnej itp. — Guziki liberyjne, monogramy, herby i klamry do pasów dla służby. — Toporki i znaki do cechowania. — Pierwsza w kraju prasa pędzona motorem elektrycznym, wykonuje medale wystawowe, medale pamiątkowe, medaliki religijne, odznaki wszelkiego rodzaju, tłoczone tablice orjentacyjne na domy, ulice itp.

ELEKTRYCZNE

ŚWIATŁO — SIŁĘ — SYGNALIZACJĘ etc., URZĄDZAJĄ

Sokolnicki & Wiśniewski

FABRYKA ELEKTROTECHNICZNA I ZAKŁAD INSTALACYJNY.

Lwów, Słowackiego 18. Tel. 665.

Kraków, Bracka 8. Tel. 1206.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny **Albert Mniszek.**